

Wychodzą we Wto-
rek, Czwartek i Sobo-
tę. We Lwowie prenu-
merata roczna 6 Złr.—
półroczna 3 Złr.— kwar-
talna 1 Złr. 30 kr.—
miesięczna 30 kr. m. k.
W kraju z przesyłką po-
cztową rocznie 8 Złr.—
półrocznie 4 Złr.— kwar-
talnie 2 Złr. m. k.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego
rodzaju przyjmują się za
opłatą od wiersza pis-
mem poły w przedział-
ce za jednorazowe umie-
szczenie po 3 kr., za na-
stęp, po 1 1/2 kr. i za do-
porozowe umieszczenie.
Biuro ekspedycji w księ-
garni H. W. Kallenbacha

DZIWO - ŻONA.

Powieść społeczna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

VIII.

(Ciąg dalszy).

W chwilę potem przyszedli obadwaj starcy i zasiedli do stołu. Zmęczeni pracą całodzienną, pożywali oni skromne swe pożywienie wesolo i żwawo; lecz Kamil, choć młody i także, choć nie pracą, to daleką wędrówką zmęczony, ani jednej łyżki nie spożył. Siedział on osowiały i nieruchomie w dno talerza wpatrzony, jak gdyby go jakie straszne opanowały przeczucia, albo jak-by go już stanowcze powaliło nieszczęście. A starcy tylko smutnie spoglądali na siebie i kiwali głowami. Nazajutrz o świcie niebo się obciągnęło grubymi chmurami a rankiem deszcz się puścił gwałtowny. Stary wachmistrz wyszedł na ganek, obejrzał uważnie firmament, przypatrzył się górą, i zapowiedział trzydniówkę. Trzy dni też bez odpoczynku lały się wody strumieniami na ziemię spragnioną. Przez całe trzy dni grali starzy ze sobą w marysza i co godzina dziękowali panu Bogu za deszcz orzeźwiający powiędłe zasiewy; — lecz Kamil przez te trzy dni chodził jak opętany po wszystkich kątach domostwa, stracił spokój, sen i cierpliwość, i był już bliskim rozpacz. Trzy dni bez jej widoku, bez dźwięku jej głosu, bez ścisnienia jej ręki, zdawały mu się piekielnem męczeństwem, zdawały mu się wiecznością.

Czwartego dnia o południu zaczęło się wypogadzać cokolwiek, — po obiedzie przedarło się słońce przez przerezione chmury i bladawym promieniem oświeciło skapaną ziemię. Młodzieniec już nie dojadł obiadu, tylko porwawszy kapelusz, wyleciał ezempredzej na pole, — lecz uszedłszy paręset kroków, przekonał się, że jest niepodobieństwem iść dalej. Ziemia cała roskisła a wszystkie drogi i ścieżki były pełne błota i wody. Choćby przyszedł do Jaru, to jej tam pewnie nie będzie! — I wrócił nazad mrukiwy i gniewny... lecz ciesząc się pewną nadzieją jutrzejszej pogody, resztę dnia przemarzył cokolwiek swobodniej i znośniej. Przed wieczorem wyszedł na ganek i stamtąd patrzył na zachodzące słońce i na wszystkie chmurki gromadzące się nad zachodem, i patrzył z taką ciekawością i takim zajęciem, jak gdyby ten cały obraz chciał jutro odrysować z pamięci... ale on rysować nie umiał,

on chciał tylko z ich barw i postaci wyczytać, czy będzie nazajutrz pogoda? Pogody, słońca, potrzeba mu teraz pilniej niż duszy zbawienia i za pogodę jutrzejszą któż wie czyby rzeczywiście nie oddał zbawienia! Niestety niewiedział on, że w tej chwili gromadziła się daleko straszniejsza burza nad jego głowami, burza, która jak waż olbrzymi pełźnie ci-cho po ziemi i kiedy sobie upatrzy ofiarę, znajdzie ją w wodzie i w ogniu, w gwarliwym zgielku stutysięcznego miasta i w głębi niedostępnych wertepów.

Wieczorem jak zwykle zeszli się wszyscy trzej mieszkańcy tego małego dworku do izby jadalnej i zasiedli do stołu. Atoli zaledwie pierwszą łyżkę do ust przytknęli, dał się im słyszeć gwałtowny tentent galopującego konia, który wpadł na dziedziniec i stanął przed gankiem. Nie spodziewany odgłos ten przeraził wszystkich tak mocno, że z łyżkami zatrzymanymi w powietrzu, słuch tylko wy-tężyli ku oknu i na chwilę zdali się być martwymi figura-mi z drzewa lub glazu, — a wtem wpadł wystraszony i zadyszany sługa xiędza Augustyna i zawołał w głos we drzwiach:

— Niech panicz ucieka! wojsko stanęło za plebanią pod lasem i pewnie niebawem na dwór uderzy!

Na tę wiadomość zerwali się wszyscy, stary wachmistrz wskoczył zaraz do swojej sypialni i chwycił za pałasz, pan Bonawentura załamał ręce i stracił na chwilę przytomność, Kamil oniemiał, — i znowu na kilka sekund grobowe milczenie zaległo izbę, — lecz tuż zaraz wpadł jeden z domowników do izby, wołając z przestachem:

— Panie! żołnierze w dziedzińcu!

Ta druga wiadomość ocuciła znów wszystkich. Szły skoczył z pałaszem ku drzwiom, wołając głosem groźnym: Quintum diabłum! wołać parobków, stajennych, włodarzy, z dragami, widłami i co kto uchwyci! — Stary Łaski je-szcze raz ręce załamał i jęknął z boleści — a Kamil tym-czasem rzucił się ku oknu, przez nie wyskoczył w ogród a przebiegłszy go w oka mgnieniu, wpadł na pole i puścił się ile sił mu starczyło prosto ku owym nieprzebranym o-stępom, które drobniejszem zaroślem sięgały łąnów, tylko o parętyśce kroków odległych od dworu.

Wszakże przestach gwałtowny, zamieniony w stałą, trzęsącą się trwożę, tak jeszcze silnie nim władał, że cho-ciaż wpadł już między zarośla, w których śród nocy mógł się ukryć bezpiecznie, nie zatrzymał się jeszcze, lecz bez ustanku biegł dalej i dalej. Aż nareszcie się znalazł nad

brzegiem owego Jaru, który mu tak dobrze był znany. Tu dopiero się na chwilę zatrzymał i spoczął. Bezpieczeństwo jego w tem miejscu już było zupełne, bo jak nam wiadomo, znajdował on się na dziale dwóch odrębnych okolic, w zakęcie oddalonym i nawet przez tutejszych mieszkańców nigdy nie odwiedzanym; była to zresztą noc i szukający go nie mogli na żaden sposób wiedzieć, w którą udał się stronę: ale strach, jak to mówią, ma wielkie oczy i Kamil to bezpieczeństwo chciał mieć jeszcze pewniejszym. Przeszedł on więc przez ów mostek naturalny na drugą stronę, a tam się znalazłszy, dopiero odetchnął wolno i całkiem swobodnie.

Stanu jego wewnętrznego istoty pod ową porę opisywać nie będziemy. Serca młode i głowy, do marzeń i exaltacji skłonne, nie tylko łatwo, ale często nawet z jakimś szczególniejszym zajęciem znoszą nieszczęścia takie, pod któremi upadli-by całkowicie zimni prozaicy a których może-by przeżyć nie potrafili starzy. Niechaj sobie przeciwko temu kto mówi co chce, toż pomimo to prawdą pozostanie na wieki, że głowy podniesione nad poziom materialnego świata, dusze panujące nad bezgranicznymi krainami wiecznie żywej i wiecznie zmiennej w swych twórcach fantazyi, nieszczęściami dotyczącymi tylko ich materialnej połowy, nie dadzą się ściągnąć na ziemię. Mieszkańców duchowego, nieskończonego świata zdaleka tylko obchodzą drobne wypadki, zachodzące na tem ziarnku marnego prochu, którego całe istnienie zaledwie chwilę stanowi w wieczności. Im klęskę zadać stanowczą, potrzeba stoczyć z nimi walkę w ich domu, na własnem ich polu, i tam ich zwyciężyć. Ale jeszcze ich nikt nie zwyciężył. A jeżeli ich tylu wciąż ginie, ginie śmiercią przechodową ze świata duchowego w świat ziemski: to kiedy się bliżej przypatrzymy ich trupom, przekonamy się jawnie, że każdy z nich sam sobie stworzył i zorganizował siłę dla siebie zabójczą, sam się wyzwał do walki i własną ręką się zamordował. Bo przeznaczeniem tych, którzy z dwóch połowic przez Stwórcę złożeni, gwałtem się wydrzeć chcą jednej, nie może być nic innego jak połowiczne samobójstwo.

Obeznawszy się Kamil ze swem położeniem i otrząsnawszy się z trwogi chwilowej, wlaź w otwór owego dębu, który tam stał niedaleko od brzegu, i w nim noc całą przepędził. W pół śnie a pół jawie stawały przed nim różne myśli i różne postacie: niektóre z nich wylażyły do niego z starego dębu, świadka kilku wieków półtajemniczej tego kraju historii, i były piękne i poetyczne; drugie załatywały doń z starej puszczy szumiącej dzikim, niezrozumiałym śpiewem, i były straszne; inne przybiegały do niego od ojcowskiego dworku i te były zatrważające, okropne, — lecz w obec nich wszystkich był on dziwnie spokojny i nieustraszony... może mu się zdawało, że jego kochanka, zamieniona w Dryadę, usiadła przy jego nogach przy wejściu w głąb drzewa i nadziemską mocą strzeże jego spokoju,

a może też rzeczywiście w jego duszy młodej było już tyle siły i rezygnacyi!...

Obudzony orzeźwiającym chłodem górskiego poranku i wrzaskliwym leśnych śpiewaków pacierzem, począł myśleć cokolwiek realniej nad sobą i znalazł, że jak niepodobna mu jest powracać do domu, tak samo niepodobna zamieszkać w lesie. Myśl o tem, że będzie potrzebował jak pierwszy lepszy żebrak szukać u ludzi przytułku i pożywienia bardzo go niemile przejęła, — lecz widząc, że mu nic nie pozostaje innego, przyjął i to jako konieczność z odwagą i rezygnacją. Wszakże na wszelki wypadek postanowił on nie opuszczać tego w tak uroczym wspomnienia bogatego miejsca przed ową godziną, w której zwykła była tu schodzić się z nim jego bogini. W tem oczekiwaniu przemieniły mu powoli przedpołudniowe godziny i przeminęło po ludnie. I przyszła nakoniec owa zwyczajna schadzka godzin..... ale Dziwożony nie było. Coraz niespokojniej poglądał Kamil w głąb puszczy, głód mu zaczął dokuczać, trwoga jakaś obejmowała go zdala, niecierpliwość jego z każdą chwilą wzrastała... lecz Dziwożony nie było. Nareszcie już i nadzieja widzenia dzisiaj ubóstwianej dziewicy poczęła znikać z jego serca, i całkiem zniknęła, i już słońce zaczęło się chylić ku zachodowi. Był to już moment oczekiwania ostatni i trzeba było koniecznie pomyśleć o jakimś dogodniejszym schronieniu. Przekonanie to stanęło mu za nadto jawnie przed oczyma, ażeby go mogła wyrugować jeszcze czasem powracająca nadzieja doczekania się Dziwożony, — niepozostało mu więc nic innego jak wybrać drogę i puścić się nią natychmiast.

Wybierać nie miał pomiędzy czem, bo puszcza była z wszystkich stron jednakowa, geografia miejsca wcale mu nie była znajoma, i tylko jedną ścieżeczkę znać było pomiędzy drzewami. Tą więc ścieżeczką poszedł nieszczęśliwy młodzieniec. I szedł długo ciemną, nieprzebytą gęstwiną. Lecz uszedłszy kilka tysięcy kroków, puszcza zaczęła rzednieć mu przed oczyma, niebo coraz jaśniej się przebijało pomiędzy gałęziami, a pod nogami poczęły się pokazywać warstwy pokładów skalistych, wystających grzbietami nad ziemię. Te skalne grzbiety za każdym krokiem się powiększały i wyżej piętrzyły a w miarę ich wzrostu las rzedniał coraz więcej; aż nagle wyglądał ku niemu z wielkiej, tuż przed nim leżącej oazy, olbrzymi pokład skalisty, wystrzelający kilkoma ogromnymi szpiczastymi wieżami do góry, na którym stało jakieś białe murowane domostwo wyglądające z nadto porządnie i czysto, ażeby mogło być pustką, opuszczoną przez ludzi. (C. d. n.)

FRAGMENT

Z poematu: Jan Kazimirz

przez M. B. Antoniewicza.

Co jesień z pełnej wysypała dłoni,
Niesie na sprzedaż dziś chłopków gromada;

I wóz za wozem na gościńcu goni,
Bo dziś w Saint Germain ponoś targ przypada.

Lekko na głowie, jakby ślubny wianek,
Kosz niesie dziewcze z wesołym obliczem;
A przy niej chłopak, to pewnie kochanek,
Nad gnuśnym mułem potrzaskuje biczem.

Gościniec długi, jakby wstęga siwa,
Przed nimi w dali leży rozpostarty;
Ale go znacznie, przy pieśniach ubywa,
Znacznie wesołe skrócają go żarty.

Ciszej! za nimi słychać tentent koni,
Tuman kurzawy bałwani się drogą,
Jak wichrem party, co raz bliżej goni,
Już już i jeźdźców w nim rozeznac mogą.

«Skąd? kto wy? dokąd prowadzi was droga?»
Zdumione chłopstwo jednostajnie pyta;
Lecz niewstrzymana jazda wiatronoga,
Odpowiedziała tententem kopyta.

Tyle co pomknąć trzy razy powieką,
Już tuman gęsty karawanę schłonał;
Już i przeleciał, już przed nią daleko,
Już tam za górą, jakby wmgłę utonął.

«Pewnie to jacyś z obczyzny rycerze,
«Lecz znać, że każdy odważny i śmiały;
»Na obcych strojach błyszczały pancerze,
»A na kołpakach chwiał się orlik biały.

«A ten, co przodem jak wicher pogonił,
»Rycerz to jakiś grzeczny i bogaty,
«Jak to on miło wszystkim się pokłonił,
»Jak ciężkie złotem miał zbroje i szaty!»

Tak, z kurzu czyszczyć świecące odzieże,
Na targ ciągnąca rozprawiała rzesza;
Już się Saint-Germain pokazały wieży,
Dokąd jej kroki ciekawość przyspiesza.

Był to Smoleńska dzielny wojewoda,
Co od Tatarów nieraz kraj wybawił;
Krzysztof Gąsiewski, a z nim wiara młoda,
Ich to Władysław z poselstwem wyprawił.

«Idźcie!» rzekł z gniewem «niech Ludwik zdradziecki,
«Natychmiast puści brata Władysława!
»Tak chce, nie prosi król polski i szwedzki,
«A potem będzie o resztę rozprawa!

»A gdyby niechciał zważyć słowa mego,
»To mu powiedźcie, niech pamięta o tem,
«Że nie tak zbyt dalekim tron jego,
«Bym go niedosiągnął polskiej lancy grotem!»

«Gąsiewski, królu! niezwykły wracać marnie!»
Rzekł wojewoda dumnie i surowo,
«Spieszcie książęciu zakończyć męczarnie,
«Bóg z wami!» odrzekł i skinął im głową!

Spiesznie się w drogę wysłani wybrali,
Na dzielnych koniach dzielna jazda znika,
Królewskie słowo jak piorun ich pali,
Co ma wystrzelić przed tronem Ludwika.

W Saint-Germain w zamku pryskają rumaki.
Już się ich jeźdźce rozstali z strzemieniem!
Te w polskim stepie wykarmione ptaki
Gawiedź zamkowa ogląda z zdumieniem.

W Saint-Germain w zamku o kamienne schody
Brzęczą podkówki i polskie oręże,
Przed tron Ludwika śladem wojewody,
Śmiało tam polskie postępują męże.

Spokojnie niby czekał król na tronie,
Lecz się niespokój duszy zdradzał w oku,
Weszli Polacy, twarz ich gniewem płonie,
I z gniewem szable szczękają u boku.

Tu wojewoda, odsłoniwszy czoła,
Musnął czuprynę, dumnie skinął głową,
I wąs poprawił i spojrzął do koła,
I tą do króla odezwał się mową:

«Król polskiej ziemi, i szwedzkiej krainy,
«Którego panie poległa ci znana,
»Chce, byś natychmiast, tej oto godziny
«Uwolnić księcia Kaziemirza Jana!

«Że Jan w twym kraju miał zgubne zamiary,
«Że cię chciał zdradzić hiszpańskiej koronie,
«Jest to kłam podły obydnej poczwary,
«Co przy twym gnuśnym rozgnieżdza się tronie!

«Ten to duchowny twój minister, panie!
«Co brodzi w ludu twego krwi bezkarnie,
«Chcąc gniew swój wyrzucić na książęciu Janie,
«Na te więzienia skazał go męczarnie!»

Słuchał król z gniewem i z wstydem głębokim,
Gdy się Gąsiewski tak śmiało wyrażał,
Potem na postów dumnie spojrzął okiem,
I — księcia Jana uwolnić rozkazał.

H a s z y s z.

(Dokończenie.)

Ten obraz zgrozy zwierzęcej i śmiertelnej męki zwierzęcia dał się do mnie zastósować. Jak ten rumak wisiałem na krawędzi wysokiej wieżyczki, — za chwilę upadną! Mimowolnie ręką powiodłem po licu. Hu! okropnie! Ciało opadło z kości, — na karku moim była tylko trupia główka. Jednym skokiem rzuciłem się na poręcz, i spojrzałem na dziedziniec głuchy, niby wymarły, po którym księżyc różne cienie rzucał.

— Mamże się na łeb rzucić? spytałem się; ale, chociaż zgroza od trupiej główki mojej większa była, niż strach przed śmiercią, przecież jakaś niewidoma siła odepchnęła mnie od przepaścistej krawędzi. Prócz tego już się stróże zbiegli byli, jak mi to później opowiadano; ja ich

wtedy nie widziałem. Hałas przebudził naszego pocziwego gospodarza Antonio, on i Abdalla strzegli mię.

W opłakany stan wróciłem do pokoju naszego. Mój ziomek ciągle jeszcze był lokomotywą, dał, szumił i wyrzucał pojedyncze sylaby, jak maszyna w ruchu. Usta jemu tak jak mnie skamieniały; i on porwał za dzban i chciał się zakropić, ale nim wody łyknął, postawił go nazad, śmiejąc się na głos cały i wołając:

— Jak też ja mogę wodę do kotła wlewać, gdy parą dmę bez przestanku!

Ale ze mną już za nadto okropnie było, niż bym mógł śmiać się z niego. Coraz głębiej pogrążałem się w otchłań niewypowiedzianej bojaźni śmierci i rozpacz. Bo chociaż nic mi właściwie nie bolało, to z gwałtownego na prężenia i zupełnego rozstroju nerwów taka mię opanowała trwoga, że w porównaniu z nią najsrozsza boleść niczem-by była. Nakoniec ostatek silnej woli, z którą z demonem walczyłem, upadał i czułem, że wnet mię bezwładnego zupełnie opanuje. Wszelkie nateżenie, ostać się przy rozumie, połączone było z śmiertelną trwogą, a zał demon ten nie jest szaleństwem, co nigdy już mię nie opuści. Trwoga przed śmiercią nie była mi tak straszną, jak owa bojaźń. Myślałem, że w tej walce, która już wkrótce ustanie, spadnę w ową przepaść podemną, że w tej samej chwili rozum i wola rozpadną się ze sobą, i skonom ciałem i duszą. Rzuciłem się na łożo, i bez oporu czekałem, rychłoli dokona się przeznaczenie moje.

Mój towarzysz w takim samym prawie położeniu się znajdował; lecz im mniej działał w nim demon haszyszu, tem hałaśliwszym się okazywał, gdy i na niego przyszła kolej z nieba ztrąconym być w męczarnie piekielne. Wrzeszczał do mnie, że umiera, błagał mię o ratunek, i okropne czynił mi wyrzuty, że tak leżę cicho i bez ruchu, nie troszcząc się wcale o niego.

— Cóż mi nie dajecie pokoju? myślałem. On mniema, że umrze, a czemuż jest śmierć w porównaniu z szaleństwem? Niech umiera! Tysiącza śmierć jest lżejszą, niż męki moje.

Po chwili stawało się coraz mroczniej w myślach moich, zapadłem w odrętwienie. O ile sobie przypomniać mogę, było to o 3. godzinie rano, może pięć godzin po nieszczęsnem zażyciu haszyszu. W tem odrętwieniu leżałem cały następny dzień i noc całą, i tylko czasem przebłysnęła mi chwila przytomności. Przypominam sobie, że jakby przez sen słyszałem głos Abdalli. Opowiadał mi potem, że wstał, próbował się ubrać, wypił dwie filiżanki kawy, i napowrót w letarg zapadłem. Ale o tem sobie nic a nic przypomnieć nie mogłem. Na drugi dzień po śnie trzydziestogodzinnym, przebudziłem się, zbity, zmęczony, a w wypalanej głowie jak dym snuły się jeszcze ciągle widziadła, nie wierzyłem sobie, że jeszcze żyję istotnie, moja osoba jak cień mi się wydawała. Co jadłem, nie czułem w u-

stach; co piłem, nie pokrzepiło mię; z wielką męką siliłem się pojąć, co do mnie mówiono, i na odpowiedź się zdobyć; rozum i wola wprawdzie powróciły na swoje dawne trony, ale bardzo słabo na nich się trzymały.

Mój ziomek jakoś prędzej się opamiętał i poprowadził mię do kąpieli, gdzie się wyzdrowieć spodziewałem. Z wielką trudnością zachowałem przytomność powierzchowną. Jak na przekór opadał czasem mrok na zmysły moje, gdzieś niby po długoletniej wędrówce po dalekich światach zbudziłem się, jak potracony, i ujrzałem się w mglistej łaźni a przy mnie Abdallę, który omdlałe członki moje nacierał. Domniemywam się, że musiał coś pleść bez sensu, i że ludzie doglądający mnie, wiedzieli o stanie moim. Bo skoro po kąpieli na pulchne dywany mię położono, podali mi szklankę bardzo kwaśnego sorbetu, co mi na chwilę bardzo ulżyło. Jednakowo czar jeszcze nie był odżegnany; jeszcze dwa lub trzy dni ciągle byłem bez przytomności, i nic nie wiedziałem, co się ze mną i koło mnie działo. Przechadzałem się po Damaszku z dziwną myślą, że jestem gdzieś na innem miejscu, i musiałem się mocno nateżać, aby rozpierzchnione myśli i wrażenia moje pozbiierać.

Jeszcze dawniej między sobą ułożyliśmy, puścić się ku Palmyrze, która o jakie 150 mil na wschód od Damaszku leży. Dla nieprzyjaźni między Arabami osiedlonymi i plemionami Aneyzeh potrzeba było podróz tajemnie i pod konwojem naczelnika pierwszych odbywać. Właśnie co powróciło trzech wędrowników szczęśliwie, i szejik ofiarował się nas przeprowadzić. Ale nasz stan zdrowia zmuszał nas, podróży ułożonej zaniechać. Niebezpieczna wycieczka przez puszcze, nieuchybne starcie się z Beduinami mogłyby nam pomogły do zupełnego uwolnienia nas od okropnych skutków naszego fatalnego eksperymentu, ale urok leżący w imieniu Palmyra, romantyczność tej wycieczki, wszystko gdzieś znikło. Straciłem odwagę, zmarnowałem siłę, i pragnąłem, tylko Damazk opuścić. We dwa dni potem, upadły na ducha i ciele puściłem się do Balbek. W pierwszym dniu zwiedziłem sławne w Biblii źródła Barada czyli Farpar i przenocowałem w Zebdeni, wiosce na wyniosłej płaszczynie pomiędzy szczytami Antilibanu. Świeże powietrze gorskie i nocleg na cichej, balsamem woniejącej równinie dokonały mojego wyleczenia. Raniutko wyruszyliśmy, i puścili się wzdłuż tej płaszczyny. Piętrzące się, śniegiem nakrapiane szczyty Antilibanu po prawej, widok na nienagane w mgle sine równiny i puszcze podemną po lewej ręce, przedemną łąki błyszczące najpyszniejszymi kwiatami Wschodu, a nademną niebo, jasne bez plamki! czary, cuda przyrody wszędzie owionione dziewiczą barwą wiosny! Patrzałem, bujającemu po tej krainie rozkosznej uleciały z duszy i oczów ostatnie brudne mgły, które mi osnuł demon haszyszu. Jasny, jak niebo, był już mój umysł, swobodne i lekkie, jak elastyczne powie-

trze poranku, było serce moje. Byłem znowu panem samego siebie, świat mi się promienił cały jak odrodzony, odmłodziły w jasnych barwach radości mojej. Wzniosłem ręce, ku niebu, ku Stwórcy, który mnie raczył wywieść z ciemności okropniejszej niż owa dolina, kędy się przechadzają cienie umarłych; i podczas, gdy stopy moje przebiegały po kwiecistych łąkach wyżyn Libanonu, serce moje i dusza uleciały ku błękitom, bujały po nieprzebranym morzu łask Najwyższego.

Okropny był dla mnie nieroztropny mój eksperyment, ale nie żałuję tej próby. Otworzył przedemną głębie zachwyty i boleści, do jakich myśl człowieka na zwykłej drodze nie dojdzie. Pokazał mi palec Boży, jak niebezpiecznie jest, wyrzucić rozum i wolę z naturalnego ich toru.

Dla pożytku wszystkich skreśliłem wiernie i o ile możliwości dokładnie, com doświadczył. Jeślibym na nieszczęście opowiadaniem mojem obudził ciekawość niewczesną, którą właśnie ukrócić pragnę, i jeśli-by kto zechciał zwołać do siebie demona haszysz; to niechże przynajmniej taką tylko ilość zażywa, która jest dostateczną, aby jednego śmiertelnika unieść w krainy błogich urojów i widziadeł złotych. Ale niech się strzeże, tyle co ja połykać, i mimowolnie za życia być już w piekle. Lecz oby na tym świecie tylko demon haszyszu w piekiel wiódł nas męczarnie!

O podróży Haxthausena po Rossyi.

(Ciąg dalszy).

W Stanach Zjednoczonych podboje są więc dziełem pojedynczych indywiduów; w Rossyi rząd czyni krok pierwszy, ukaz do podbicia kraju wychodzi z góry. Na głos Samodzierzcy rozlewają się tłumy wojsk po kraju, który podbity być ma, a ślepe posłuszeństwo tych tłumów jest to samo czy wysłane są nad brzegi, Dunaju czy Wisły. Bój rozpoczyna się proklamacją, a kończy zwyciężkiem sprawozdaniem; ukaz carski ogłasza uroczyście, iż do państwa wcielona została nowa kraina, do której później wysłani będą mieszkańcy.

Lecz idźmy dalej w tem porównaniu. Podbój jest uskuteczniony, chodzi jedynie o to, jak podbite kraje zaludnić i uprawić. Jak postępuje Rossyja w tej sprawie, a jak Ameryka? Innemi słowy, jak odbywa się kolonizacya w tych dwóch krajach, i z jakich żywiołów tu i tam się składa?

W Zjednoczonych Stanach krainy zaludniają się jedynie przez wychodźców. Kilka kroć sto tysięcy co roku udaje się z Europy do Ameryki. Zaludnianie to jest dobrowolne, nikogo nie zmuszają, aby tam osiadł, i to właśnie podoba się wszystkim, a przybył, to wolno mu w każdej chwili wydalic się na powrót. Nad brzegami Wołgi ziemia równie jest urodzajna, jak nad Missisippi; Haxthausen kilkakroć o tej cudownej urodzajności wspomina, dodając, iż brakuje w niej ludzi, a jednakowo wychodźcy Europejscy nie udają

się tam, choć im daleko bliżej do Rossyi, choćby nie potrzebowali odbywać tak długiej podróży morskiej. Haxthausen mówi o dwóch koloniach kwitnących Mennonitów nad brzegami Dniepru, przybyłych tu w r. 1783, a druga w Sarepcie od Morawskich braci 1765 r. założona. Jedynymi kolonistami rossyjskimi są jeńcy wojenni, często mieszkający z świeżo zabranego kraju przeniesieni zostają do innej części państwa. W połowie 16. wieku zakłada Iwan Wasylewicz kolonię z pojmanych Polaków, w r. 1617 Michał Feodorowicz kilka tysięcy Finlandczyków osadza między Twerem a Moskwą, toż samo czyni Piotr Wielki z pojmanymi Finlandczykami i Szwedami. Po zdobyciu Narwi i Dorpatu 1704 r. zabiera kilkanaście tysięcy mieszkańców z miast, i osiedla ich po całej Rossyi. To samo dzieje się i dotąd; po zdobyciu Warszawy kilkoma tysięcy Polaków zaludniono Syberję i Kaukaz, a niedawno mnogie wsie polskie wyludniono zupełnie, a mieszkańców osadzono w głębi Rossyi i na Kaukazie. Zaludniając kraj z orężem w rękę, życzyła sobie Rossyja sprowadzić z zagranicy i dobrowolnych kolonistów. Jwan Wasylewicz Groźny był jeden z największych despotów, jaki istniał kiedy. On własną ręką zamordował syna, a na samo podejrzenie 25000 mieszkańców Nowogrodu zabić kazał. Był to cios, z pod którego się to pyszne miasto, należące niegdyś do Hanzy, a liczące w średnich wiekach 400000 mieszkańców nigdy nie podniosło. Otóż Car Iwan, który dla rozrywki ludzi zabijać kazał, wypadł znowu na koncept z bogacenia ich. W r. 1547 wysłał poselstwo do Karola V. i prosił go o niemieckich rzemieślników i architektów, od którychby się jego poddani sztuki i rzemiosł nauczyć mogli. Cesarz Karol odmówił tej prośbie. Lecz czy wolny kraj potrzebuje aż za pomocą obcego rządu sprowadzać mieszkańców do siebie? Wolność osoby i bezpieczeństwo majątku, oto najlepsza premia dla kolonistów!

Gdy przybędzie do Rossyi lub do Zjednoczonych Stanów kolonista, cóż pocznie, jakiego chwyci się przemysłu? Jak powstaje w Rossyi futor, a w Ameryce farma? Jak powstaje wieś lub miasto?—

W Ameryce kolonista jest cudzoziemcem; nikt nie wie i nie pyta się go, z kąd przyszedł i po co? Skoro wstąpił na wolne wybrzeża Ameryki, może iść, gdzie mu się podoba, przez cały kraj, i wszystkie jego państwa, bez paszportu, a nikt go nie zatrzyma pytaniem o imię, miejsce urodzenia i zamysły. Nim się zdecyduje, na którym miejscu ma się osiedlić, to długo rozmyśla, jakiego przemysłu się chwycić, ma zostać kupcem, rękodzielnikiem, wieśniakiem lub osadnikiem? Ma-li kupować bawełnę czy grunta? A gdy już coś wybrał, które miejsce-by najdogodniejsze mu było? W którym nowem państwie koloniści najprędzej szczęście robią? Czy w Indyana, Missouri lub Arkanzas? Albo może przenieść się za Skalogory? Tu grunta można za bezcen kupić, czy-by nie było dobrze,

handlować gruntami? Tu jest miejsce na spływie dwu wielkich rzek, czy nie można się spodziewać, że na niem kiedy wielkie miasto się wzniesie, a więc cena placu stokroć pójdzie w górę? Czyli w tem miejscu niema już zanadto rolników? A tamte strony, czy obficie czy mało zboża wydają? Nad tem przychodzi głęboko rozmyśla, nie tylko w chwili wyładowania, ale ciągle, dopóki w Ameryce przebywa. I ztąd-to, z tych ciągłych zabiegów, z tej gorączkowych spekulacji, nie pohamowanych niczem, pochodzi ta czynność, tyle korzystna dla pojedynczych i ogółu. Żywotne pytania te, od których zawisa los przychodźcy i państwa oraz, on sam rozważa, rząd się o to nie troszczy. Teorya rządu Stanów Zjednoczonych wychodzi z tego stanowiska, że obywatel dokładniej rozsądzi, co dla niego a więc i dla ogółu korzystniejsze, i ochoczej weźmie się do pracy, niż gdyby o tem decydowała władza polityczna lub socyalna, która wszystkiemu tylko z daleka przyglądać się może. I w samej rzeczy zdrowy rozsądek któregośkolwiek kolonisty lepiej na takich rzeczach się rozumie, niż najpierwszy geniusz polityczny. Awanturnicy, którzy przed 50 laty na brzegach Ohio na chybił-trafił osiedlić się odważyli, nie omylili się w nadziejach, bo już tam wzniosło się ogromne miasto Cincinnati; Washington po długim i roztroprnym namyśle, założył miasto imienia swego, ale o no podnosi się bardzo powoli, jak roślina choć z całą sztuką, ale w niewłaściwym miejscu zasadzona.

W Rossyi całkiem inaczej. Przybywający tam kolonista niema nad czeim zastanawiać się, rozmyślać; wszystko dla niego już naprzód obmyślono. Rząd już rozstrzygnął, gdzie i jaka liczba osadników ma się osiedlać; nowoprzybyły dostaje marszrutę aż na swoje pole, które mu wyznaczono, i tam już zostać musi, jak żołnierz na straży. Ziemia może nieplodna, może są jeszcze niezajęte lepsze grunta, może tu już i tak za nadto zboża, a ilość jego niepotrzebnieby pomnażał ze swoją, drugich i ogółu szkodą, o to rosyjski rząd nie pyta; tam mu plac wyznaczono, już go opuścić nie może, jego osoba już jest częścią tej ziemi, jak bydło inwentarzowe. Od dnia osiedlenia swego został niewolnikiem; niewola bowiem jest charakterystką całej masy rolniczej w Rossyi. Wyjątkiem są tylko Kozacy, których p. Haxthausen wedle swojej loiki, mianuje nowoczesnym stanem rycerskim Sławianów, którzy za pełnienie pewnych usług wojskowych, uwolnieni są od pańszczyzny, poddaństwa i czynszu. Jest także gatunek sołtysów, których Cesarz Alexander ustanowił; ale ci oprócz pogłównego pełnią także służbę wojskową, i tylko są klasą wyjątkową, do której trudno się dostać. Ukaz z d. 21. listopada 1601 przykuł wszystkich chłopów rosyjskich do gleby tak, że się już przenieść nie mogą. Chłop koronny płaci obrok, t. j. czynsz, który 10 rublinie przenosi. Stan chłopu koronnego jest znośniejszy, niż poddanego, bo powinności ma stale określone. Szlachcic na swego poddanego nakłada obrok

albo pańszczyznę, według pańskich łanów wielkich lub małych, urodzajnych lub płonnych; czasem chłop płaci swemu panu do 50 rubli.

W Wielkorossyi, gdzie chłopci najwięcej pańszczyzny odrabiają, ustanowił ukaz niedawny 3 dni pańszczyzny na tydzień. Jest rodzaj układu, który chłopca uwalnia od wszelkich czynszów i robót, to jest: dać w swoim domu żołnierzowi beżennemu kwatery, opał, światło i jedzenie. Ma to miejsce w wojennych koloniach.

Wiadomo, że w Rossyi los chłopca zawisa od charakteru i humoru pana, jest on szczęśliwym lub nędzarzem podług tego, czy pan jest szlachetny i ludzki, lub nie. Pan Haxthausen przytacza na przykład pewnego dworzanina, który tak łagodnie zarządzał dobrami swojemi, że wszystkich poddanych w okolicy najwyższym celem było, zostać jego poddanym. Otóż pewnego razu przyszli do niego chłopci ze wsi pobliskiej, wynurzając mu najgorętsze prośby swoje, aby raczył być ich panem; a gdy tenże dał im do poznania, że niema na tyle pieniędzy, aby ich sobie kupił, po najusilniejszej pracy złożyli mu potrzebną na to sumę. Dowodzi to wprawdzie, że ten szlachcic dobrym był panem, ale można ztąd się także domysleć, jakimi byli poprzednicy jego i sąsiedzi.

Bądź co bądź, najlepszy pan już w tym względzie jest złym panem że jest nieograniczonym. Penny Cyclopedia pod słowem «Russia» tak kreśli położenie chłopca rosyjskiego: «Jest on zupełnie niewolnikiem, pan może go karać, jak zechce, tylko zabić, lub głodem umorzyć i kaleką zrobić go nie może. Bez zezwolenia pana muzyk żenić się nie może; pan ma prawo sprzedać go, a chłop jest oraz do gleby przykutym, jest on dodatkiem, częścią kupionego gruntu.» Szlachcic rosyjski p. Pirsz z Krasnaja, miał do poddanych swoich mowę, która jeszcze dobitniej wystawia władzę pana nad muzykiem: «Ja waszym panem, a moim Car jest. Ja muszę słuchać Cara; ale on nie jest tym panem, który wam bezpośrednio rozkazywać może; na mojej ziemi ja wam jestem Carem, i ja przed Bogiem za was odpowiadam.»

Kolonista rosyjski już osiadł w swojej wsi. Ale jak wieś ta powstała? Jak wszystko: w Rossyi, ukazem; w Zjednoczonych Stánach, wolnością. W Rossyi nie tylko miasta, ale i najmniejsze osady według Carskiego ukazu powstają, który nie tylko główny zarys określa, ale i nad najdrobniejszym szczegółem w wykonaniu czuwa. Najmniejsza gromadzka budowa nie może być przedsięwziętą, cerkiew z prywatnych składek stawiana, jeśli w Petersburgu rezydujący komitet nie da na to przyzwolenia swojego. Z niczem nigdzie porównać nie można regularności i jednostajności tych wedle ukazu stawianych osad; wszystkie ulice wyciągnięte podług sznura, domy w równem od siebie oddaleniu stoją; po miastach rzadko gdzie znajdzie się dom nad dwa piętra; plan najmniejszego domku w mieście rządowem mu-

si do Petersburga do potwierdzenia być posłanym. »Prawda, mówi dalej p. Haxthausen, że te ulice proste, po wsiach i miastach, ani brukowane, ani makademizowane, i z ciężką biedą po nich przejechać można, i że drogi do nich wiodące po największej części nie są do użycia.« Cóż się nad tem tak dalece dziwić? Rząd dekretuje formę i plac domu, czy mogą mieszkańcy na tę myśl przyjść, że i utrzymanie ulic i gościńców do nich należy? Pomimo wszelkiego podziwiania instytucji rossyjskich, nie może p. Haxthausen zaprzeczyć, że gościńce rossyjskie są okropne i naiwnie wykrzykuje: »Patrzcie-no moi Panowie! Ameryka pod tym samym stopniem, bez jedności i związku, ogołocą z dobrodziejstw, które stała wola monarchy w krajach doń należących rozsypać może i umie, wystawiona na wszelkie walki o interesa materialne, ta północna Ameryka zawdzięcza wzrost i olbrzymie rozwinięcie potęgi swojej tym niezliczonym gościńcom i kolejom żelaznym, które zdrowy umysł jej obywateli jak sieć po kraju rozsnuł. O źródle tego rozsądku zdrowego, który Ameryce oprócz gościńców tak błogą pomyślność utworzył, o źródle tego ducha nieszczęsnego, który Rossyę z tego wszystkiego odarkł, o tem nasz autor dzieła »Etudes sur la Russie« ani się domyśla, ani pono wyobrażenia niema.

(C. d. n.)

Rozmaitość.

* Dnia 18. b. m. o 5tej rano zagrzmiały na wzgórzach Lwowa salwy z dział na uroczystość Urodzin Jego Ces. Król. Apostolskiej Mości. Najpiękniejszą pogodą, i serdeczną radość mieszkańców, wszystko się łączyło, aby dzień ten jak najświetniej obchodzić. O godzinie 9. rano przybyła Jego Cesarzewiczowska Mość Arcyksiążę Karol Ludwik do katedry z Jego Excellencyą p. Namiestnikiem, i poczęło się solenne nabożeństwo przy celebrze JE. Arcybiskupa Baranieckiego. Tłumy ludu zanoszące modły swoje gorące do króla królów za swego Najmiłostwiejszego Monarchę, napełniły wspaniałą świątynię. Strzały karabinowe i działowe dodawały jeszcze więcej solenności nabożeństwu, po którym Jego Cesarzewiczowska Mość udał się w towarzystwie komendanta IV. armii jen. zbrojmistrza JE. hr. Schlicka otoczony całą generalicyą i świetnym sztabem w paradnych mundurach na rynek, gdzie wojsko defilowało. Tymczasem JExc. p. Namiestnik udał się do cerkwi wołoskiej, gdzie przy celebrze JW. ks. biskupa r. gr. Bocheńskiego także uroczyste odprawiano nabożeństwo, poczem deputacje wszystkich stanów pospieszyły po winszowania swoje złożyć na ręce JExc. Namiestnika. Jego Cesarzewiczowska Mość Arcyksiążę Karol Ludwik raczył wiele gości wojskowych i cywilnych zaprosić na ucztę, która odbyła się w tych salach namiestnictwa, gdzie Cesarz Jego Mość podczas pobytu swego udzielać raczył powszechnych audyencji. Salwy z dział oznaczały toasty spełnione, towarzyszył im serdeczny odgłos wesołego ludu i muzyka wojskowa.

* **Widoki Truskawca.** Nasza uboga w utwory artystyczne kraina wzbogacona została litografowanymi widokami Truskawca, ręki p. A. Tyca. Patrząc na dawniej litografowane widoki Galicji a utwory tego naszego, kunsztowi swemu z całym zapałem, jakitylko głęboko uczute powołanie udzielić może, oddanego ziomka artysty, zmu-

szeni jesteśmy podziwiać talent i uśiłowania jego. Mamy przed sobą jeden z nieprzeliczonych malowniczych widoków naszej krainy podgórskiej. Artysta przejął się pięknoscią jego, a jednakowo nie dał się pochwyć rozpłomienionej fantazyi, lecz owszem oddał go z jak największą wiernością, jaka się z wyższymi zadaniami sztuki zgodzić może. Miłem będzie piękne to dzieło ziomka naszego, składające się z 4ch widoków, dla lubowników prawdziwej, a do tego narodowej sztuki, miłem dla tych, którzy niegdyś zachwycali się czarującym widokiem Truskawca, a najmiłszym zapewne dla tych upominkiem, którzy kąpielom tego miejsca zdrowie swoje zawdzięczają. Widoki Truskawca p. A. Tyca można postawić obok najpiękniejszych utworów litografii zagranicznej w obrębie krajobrazów, co do światła, perspektywy, i artystycznego pochwycenia. Szanowny nasz ziomek, który w tym celu udał się na miejsce, wszelkiego dołożył starania; łatwo dostrzedz, że nie jest to spekulacja, ale czysty zapał, czyste zamiłowanie sztuki i chwały narodowej.

* **Od Staregomiasa.** Jakby wszystko sprzyściło się tego roku na te okolice samborskie! Po trzydziesto-kilkuletniej przerwie odwiedzili nas przed pięćma laty Rossyanie, zeszłego lata mieliśmy katastrofalnych, i ci brali w czasie żniw po kilkadziesiąt ludzi tam, gdzie dziesięć było za wiele, ale przecie nasze cierpienia nie do porównania były z teraźniejszymi. Najpierw powieterze tyle jest przeciwnie rolnictwu, że niemasz dwa dni w tygodniu aby, się obeszło bez deszczu, przezco bez różnicy czasu siejby, raptem dojrzewa wszystko zboże, a słoma zbolała i łamie się; by więc do reszty nie spadło z kłosa trza go jak najspieszniej żąć, a tu niema robotnika, pomimo że jeszcze tak wysokich cen nie płacono. Ten brak robotnika pochodzi z lenistwa, a czasem z niemocy, także i z tego, że wiele ludzi wymarło, a znakomita część na Podole poszła. Zresztą przysyłają do nas po żenców aż z okolicy Rudek i Drohobyczy i zabierają ich na wozy. Kto wie czy nie przyjdzie czas, gdzie fiakry lwowskie będą zajeżdzać pod każdą chałupę! Nadto zdarzają się częste wypadki, że sługi dobrze przezi-mowane i jak to mówią przednawinkowane, teraz, podczas największych robót występują ze służby, bądź że się doczekali swego chleba, lub zachęceniu wysoką dzienną płacą, lub też z krnąbrności, a nie ma na nich nigdzie pomocy.

Smutny ten obraz naszego gospodarstwa, gdzie koniec i siano zgniło, zboże ginie, karczmy, austeria i młyny pustką stoją i t. p. w towarzystwie finansowych czynników uzupełniają dziki, które gromadnie, po kilkadziesiąt z wszelką swobodą przechadzają się po lasach, a nocami niszczą zasiane pola. Na domiar złego, stan zdrowia tej lubo podgórskiej okolicy (ale to pono w całej Galicji) jest bardzo niezadowolniający. Kiedy własność upada, serce chore, a głowa wuspieniu, według improwizowanego w Czasie Tygodnika dogadzają w Warszawie brzuchowi: u nas niezcierpliwiona żółć epidemicznie trapi mieszkańców; jednych febra powaliła, drudzy tak są żółci, że wyglądają niby woskowe figury. Wiadomo, że żółć jest siedzibą fixacyi, oby nas Bóg choć od tego nieszczęścia uchronić raczył.

Na uchwaloną przez Najjaśniejszego Pana pożyczkę dobrowolnie spieszymy z ofertami, każdy otrzymał już urzędową w polskim języku wezwanie. Opisując sposób, w jaki nasz obwód ma się do niej przyłożyć, nie spodziewałem się, by ją gminy wiejskie odrazu niezrozumiały, ale zapomniałem dobitną odpowiedź »Kores. austr.« na artykuł »Triest. gaz.« że natura operacji finansowych w Austrii wielom mieszkańcom zwłaszcza wiejskim zaledwie z imienia jest znana.

* **Iwaś Kiryłło.** W Truszwicach, wsi obw. Przemyskiego, znajduje się sześćo-letni chłopczyzna, syn właściciela ruskiego, nazwiskiem Iwaś Kiryłło. którego gra na skrzypcach powszechnie wzbudza podziwienie, i nie tylko po wsiach okolicznych głośne imię mu zjednała. Miałem sposobność widzieć i słyszeć tego chłopca. Rysy twarzy jego regularne, i jeśli choć cokolwiek wierzyć można

frenologii, wiele obiecujące. Gdy chwyci niezgrabne skrzypce swoje wiejskie i zwróci się w kąt albo do ściany, aby nie miał dystrykcji, albo chcąc unikać natręczywej ciekawości, i zagra jaką z owych prostych ale rzewnych aryj wiejskich, lub tęskną kołomyjkę, albo inny taniec jaki, to wytryskają mu z niezgrabnego tego instrumentu tony tak lekkie, tak nieraz prędkie, tak przytem serdeczne, że niemożna wstrzymać się od rozrzwienienia i podziwu patrząc na to dziecię i słysząc grę jego. Jeśli mówię „tony serdeczne“, to nie myślę wcale przypisywać chłopcykowi sześćo-letniemu głębokich sił uczucia, którego w tym dziecięcym wieku jeszcze mieć nie może, ale może ta serdeczność wypływa z źródła wyższego jeszcze, z natchnienia. Uczęszcza on po targach, jarmarkach, odpustach i weselach, w okolicy wieśniacy prawie ze złością go przyjmują wszędzie. Przybył do Przemyśla i usłyszał tam fortepian, przegrywano właśnie polkę; zamyslał się chłopczyzna, słuchał z namiętnością, zachwycony może nie grą, ale tonami doskonałego instrumentu, i polkę tę odrazu wygrał na swoich skrzypcach. Przegrano mu potem inne tańce i coraz trudniejsze kawałki, a wszystko bez namysłu zaraz odegrał. Grywał potem po ulicach Przemyśla, gdzie powszechnie wzbudzał zajęcie. Jest to niezaprzeczenie, jeśli nie geniusz, to wielki talent, jakich niemało na bogatej Sławiańszczyźnie zaginęło bez słychu, przyszużonych nędzą lub brakiem kształcenia. Wiadomo że Thorwaldsen, który się z Canovą ubiegał o pierwszeństwo w rzeźbiarstwie, był synem włóścianina duńskiego, i na tynkach ojcowskiego domu węglem pierwsze rozkłtyki geniuszu swego rozwijał. Murillo przyjaciel i ulubieniec królów, rywal Rubensa i Rafaela, był synem niewolnika murzyna i sam niewolnikiem. Czem był w dzieciństwie Rubini? Rossini grał na klawecie w kapeli wiejskiej. Panna Rachel śpiewem swoim na ulicach Paryża szukała utrzymania swego. Dziś imiona te są podziwiane, czczone! Oby i ten chłopczyzna wzbudził w ziómkach swoich współczucie, i miał sposobność wykształcenia się umięjetnego.

Przyjechali od dnia 18. do 20. sierpnia do Lwowa:

PP. Matkowski Michał, z Topolnicy. Turkuł Felix, z Serecda. Kędziński Julian, z Mereszczowa.

PP. Jarosławski Grzegorz, z Pustomyt. Nahojowski Jan, z Kropiwnik. Dąbrowski Wincenty, z Sambora. Onyszkiewicz Adryan, z Tołczowa. Mięczyński Jan, z Stanisławowa. Lewicki Kornel, z Tłustego.

PP. Zaremba Bolesław, z Sanoka. Dzieduszycki Władysław hr. z Niesłuchowa. Strzelecki Eugeniusz, z Wyrowa. Tarnawski Michał, z Rykowa. Brzozowski Wiktor, z Czortkowa. Bogdanowicz Julian, z Chodorowa. Czacki Alexander hr., z Krechowa.

Wyjechali od dnia 18. do 20. sierpnia ze Lwowa:

P. Romaszkan Zygmunt, do Uherska.

PP. Dobrzański Julian, do Milatyna. Turkuł Felix, do Serecda.

PP. Jarosławski Grzegorz, do Pustomyt. hr. Lanckoroński Stanisław do Rozdołu, hr. Komorowski Cyprian, do Żółtkwi.

Lwów 21. sierpnia. — Na dzisiejszym targu płacono korzec Pszenicy ozimej po 24 złr. — kr. do 27 złr. — kr. — Żyta po 18 złr. — kr. do 20 złr. — kr. Jęczmienia po 17 złr. — kr. do 18 złr. 45 kr. Owsa po 15 złr. 45 kr. do 18 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 18 złr. 30 kr. do 20 złr. — kr. — Ziemiaków po 8 złr. — do 9 złr. — kr. Sąg drzewa bukowego 25 złr. — kr. do — złr. Sosnowego po 21 złr. — kr. do — złr. — kr. w. w. Centnar siana 2 złr. — kr. do 2 złr. 15. kr. Centnar słomy 1 złr. 45 kr. do 1 złr. 57. kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity 2 Złr 7 kr. m. k.

Wczorajszy. Kurs lwowski. Gotówką towarem.

Dukat holenderski złr. 5 kr. 32 złr. 5 kr. 35

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: H. W. Kallenbach.

Dukat cesarski	5	38	5	41.
Półimperyal zł. rosyjski	9	44	9	48.
Rubel srebrny rosyjski	1	52	1	53.
Talar pruski	1	46	1	49.
Polski kurent i pięciozłotówka	1	22	1	23
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	88	6	88	52.
Obliagacye indempnacyjne 80 złr.	kr.			

Kurs telegrafowany z Wiednia 21. b. m. o g. 2 popołud.

Amszterdam	—	Marsylia	—
Augsburg za 100 złr.	120.	Medyolan za 300 lirów	118 3/4.
Bukareszt	—	Paryż za 300 franków	141.
Frankfurt za 120 złr. podług	—	Agio duk. ces.	—
24 1/2 stopy	119.	Srebra agio	20.
Genua	—	Pożyczka 5% 86 1/4 4 1/2 75 1/2.	—
Hamburg za 100 tal. banco. 88 1/4.	—	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol	—	Akcyje banku	—
Liwno	—	Kolej północna	1730.
Londyn za 1 funtsterl. 11. 42.	—	Obl. ind.	80

(126) **Nowości** (1—2)

nadeszłe do księgarni H. W. Kallenbacha we Lwowie:

Cervantes'a

DON KISZOT Z MANSZY.

Przekład W. Zakrzewskiego. Ilustracya Tony Johannot.

Część I. i II. w 4ce. Warszawa 1854. 3 Zlr.

1000 POTRAW,

ciast i wetów,

podług najbieglejszych kuchmistrzów.

Z dodaniem kilka słów o usługach stołowej.

w 8ce. Warszawa 1854. 2 Zlr. 24 kr.

(125) W księgarni Karola Wilda we Lwowie (2—3)

w rynku na rogu ulicy Dominikańskiej: jest do nabycia najnowsza i bardzo dokładna

Mapa Zachodniej Rosyi z Poznańskiem, Galicyą,

według najnowszych i najlepszych źródeł, wydana przez Handkiego w Głogowie 1854.

Na wielkim arkuszu 40 kr. m. k., na płótno naklejona w formie Ski 1 Zlr. 20 kr.

(124) (2—3)

Handel Antoniego Schicka Wdowy we Lwowie

przy ulicy dykasteryjalnej otrzymał właśnie:

ARMY RAZORS

żółtkowato szlifowane

które daleko lepsze są jak zwyczajne i których nigdy ostrzyć nie potrzeba.

Sztuka kosztuje 1 Zlr. 40 kr. m. k.

Army Razors zwyczajne: sztuka po 54 kr.

„ „ „ w futerale po 1 Zlr.

 **Piwowar**, rodem z Szwajcaryi, który długi czas pracował w browarach bawarskich, a mianowicie: w Monachum, szuka stósownego miejsca. Umie on nie tylko warzyć rozmaite piwa, jako to: bawarskie, lager, oberzeug, unterzeug i t. p., lecz oraz urządzić z nowa browary. Bliższą wiadomość powziąć można w księgarni Kallenbacha.

(123) (3—3)

Z drukarni E. Winiarza.